

DWA CZERWCE

W czerwcu 2001 r. mijają rocznice dwóch robotniczych zrywów: 45. robotniczego powstania w Poznaniu oraz 25. rewolty w Radomiu, Ursusie i Płocku. Jest to znakomita okazja, by zastanowić się nad tym, co łączyło, a co różniło te dwa wydarzenia oraz jakie miejsce i dlaczego każde z nich zajmuje w najnowszej historii Polski.

W 1956 r. w Poznaniu mieliśmy do czynienia z zupełnie inną skalą działań państwowych niż dwadzieścia lat później w Radomiu, Ursusie i Płocku. W pierwszym bowiem wypadku do tłumienia protestu władze skierowały ponad 10 tys. żołnierzy wyposażonych – wedle obliczeń Edwarda Jana Nalepy – w 359 czołgów, 31 dział pancernych, 6 armat przeciwlotniczych, 30 transporterów opancerzonych, 880 samochodów, 68 motocykli oraz kilka tysięcy sztuk broni ręcznej i maszynowej. W trakcie kilkudziesięciogodzinnej akcji jednostki Wojska Polskiego zużyły wówczas w sumie około 180 tys. sztuk amunicji, głównie do broni maszynowej.

W konsekwencji – zdaniem badającego tę kwestię przez wiele lat Aleksandra Ziemkowskiego – zginęły wtedy co najmniej 73 osoby. Jeszcze trudniej jest określić liczbę rannych, których było co najmniej kilkuset, a przecież wiele osób łez rannych, obawiając się o los własny i swoich bliskich, unikało kontaktów z „uspołecznioną służbą zdrowia” lub po opatrzeniu ran (bez wpisów do książki chorych) czym prędzej udawało się do domów.

Tymczasem w czerwcu 1976 r. do rozpędzania ulicznych demonstracji skierowano wyłącznie milicjantów, w zasadzie (z wyjątkiem oficerów) bez broni palnej. Nikt wówczas nie zginął od postrzału, a jedynymi ofiarami śmiertelnymi walk ulicznych w Radomiu byli: Jan Tabędzki i Tadeusz Ząbecki, którzy zginęli przygnieci przyczepą ciągnikową wypełnioną betonowymi płytami. Według jednej z wersji nastąpiło to podczas próby zepchnięcia przyczepy w dół ulicy, w kierunku stojących tam milicjantów, według innej zaś – w czasie jej przewracania w celu wzniesienia barykady.

Ze względu na charakter protestów 25 czerwca 1976 r. w Ursusie i Płocku, gdzie w obu przypadkach milicja interweniowała dopiero wieczorem, gdy manifestacje w zasadzie dobiegały końca i trudno mówić o walkach ulicznych, moje uwagi dotyczą wyłącznie rewolty radomskiej. Tylko ona bowiem – niezależnie od wszelkich różnic jakościowych – może być w jakimś przynajmniej stopniu porównywana z powstaniem poznańskim z 28 czerwca 1956 r. W Radomiu doszło wszak do spalardowania i podpalenia gmachów Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Urzędu Wojewódzkiego oraz Biura Paszportów Komendy Wojewódzkiej Milicji

Obywatelskiej, a kilkugodzinne walki uliczne przybrały tam bardzo gwałtowny charakter. Obok milicji miejscowej do tłumienia protestu użyto jednostek ZOMO wprowadzonych z Warszawy, Kielc, Lublina, Łodzi oraz słuchaczy Wyższej Szkoły Oficerskiej MO ze Szczytna. W sumie w ulicznych starciach wzięło udział około 1600 funkcjonariuszy mundurowych i kilkuset cywilnych.

Powód pierwszy

Zarówno w Czerwcu '56 r., jak i dwadzieścia lat później bezpośrednie przyczyny protestów społecznych były natury ekonomicznej i za każdym razem protest rozpoczynał największy zakład pracy w mieście. W Poznaniu były to Zakłady im. Józefa Stalina (wcześniej i później „Cegielski”), w Radomiu – Zakłady Metalowe im. Gen. Waltera. W wypadku ZISPO robotnikom chodziło o niekorzystnie dla nich naliczony podatek od wynagrodzeń, cofnięcie nowych zawyżonych norm pracy powodujących spadek realnych zarobków, wypłatę pieniędzy należnych za przepracowane nadgodziny, skrócenie pracy w soboty do 6 godzin oraz poprawę warunków higieny i organizacji pracy.

Bezpośrednią przyczyną protestów z Czerwca '76 była natomiast zapowiedziana w Sejmie przez premiera Piotra Jaroszewicza, a faktycznie już wprowadzona, znaczna podwyżka cen wielu artykułów żywnościowych. I tak np. mięso i jego przetwory miały zdrożeć o 69 proc., drób o 30 proc., masło i nabiał o 50 proc., a cukier nawet o 100 proc. Dla złagodzenia skutków tej podwyżki przewidziano rekompensaty pieniężne, ale władze zaproponowały ich skrajnie niesprawiedliwy wariant. Ludzie najniżej uposażeni (poniżej 1300 złotych miesięcznie) mieli otrzymać z tego tytułu po 240 zł miesięcznie, natomiast najlepiej zarabiający (powyżej 8000 zł) – nawet 600 złotych. Zapewne właśnie taki skrajnie niesprawiedliwy charakter rekompensat przeważał szalę i ostatecznie pchnął robotników do protestów.

W obu przypadkach robotnicy rozpoczęli strajk w godzinach porannych, a ponieważ nikt z dyrekcji ich zakładów ani z organizacji partyjnej nie miał im nic do powiedzenia poza sloganami i wezwaniami do powrotu do pracy, formowali pochody i w porządku, bez gwałtów wychodzili na ulice. W obu też przypadkach pochody robotnicze (w tej fazie konfliktu pokojowe) kierowały się pod gmachy Komitetów Wojewódzkich PZPR. Robotnicy wiedzieli, że tam właśnie, a nie w siedzibach lokalnych władz administracyjnych, znajdowały się rzeczywiste ośrodki decyzyjne. Za każdym razem w obliczu braku praktycznie jakiegokolwiek reakcji ze strony przedstawicieli władz z czasem dochodziło do niszczenia, plądrowania, a w Radomiu w końcu i podpalenia siedziby wojewódzkich władz partyjnych. Trzeba jednak również podkreślić, że do naprawdę niszczyielskich aktów dochodziło dopiero wtedy, gdy spokojnie zachowujące się dotąd manifestacje protestacyjne, ograniczające się do wznoszenia haseł zrazu – jak powiedziano – o treści wyłącznie ekonomicznej i śpiewania pieśni patriotycznych i religijnych lub rewolucyjnych, były niezwykle brutalnie atakowane przez milicję, co natychmiast wpływało na obustronną eskalację agresji.

Powód drugi

Dużym błędem byłoby przy tym utrzymywać, że akcje protestacyjne miały wyłącznie podłoże ekonomiczne. Naturalnie czynnik ekonomiczny był nader istotny, ale odgrywał on tu „tylko” rolę detonatora. Równie ważne było poczucie braku społecznej sprawiedliwości, głęboko zakorzenione wśród wielu robotników. Realny socjalizm, przynajmniej w sferze werbalnej, głosił zasady równości społecznej, ale praktyka dnia codziennego wielokrotnie zaprzeczała tym ideałom. Robotnicy widzieli, jak żyje „czerwona burżuazja”, i na ogół mieli świadomość, że jej przedstawiciele na nich niejednokrotnie pasożytowali. Rozumieli, że otacza ich świat, w którym są równi, czyli oni sami, ale są i „równiejsi” – nadzór techniczny, przedstawiciele dyrekcji zakładu, partyjni aktywiści i działacze różnego szczebla. Dość często mieli też świadomość pogardy, z jaką odnosili się do nich niektórzy przedstawiciele robotniczej (sic!) partii, nierzadko mówiący między sobą o „prymitywnych robolach”.

Bardzo podobny był scenariusz obu wystąpień: żądania robotników, lekceważenie władz, strajk, manifestacje uliczne przekształcające się w zbrojne starcia i w końcu stłumienie siłą robotniczych wystąpień. Jeżeli nawet na początku wystąpienia miały tylko ekonomiczny charakter, to szybko nabierały cech protestów społecznych, politycznych, w Poznaniu w końcu także o charakterze insurekcyjnym. Takie zresztą były odczucia wielu uczestników i ówczesnych obserwatorów zajęć. Co więcej, do tej powstańczej symboliki i retoryki, mniej lub bardziej świadomie, nawiązywała spora część demonstrantów. Stosunkowo szybko – jeszcze w pierwszej fazie manifestacji – pojawiły się biało-czerwone flagi i sporządzone naprędce transparenty o treści ekonomicznej i społecznej. Z czasem pojawiły się także hasła polityczne, następnie narodowo-niepodległościowe. Niemal z każdą chwilą pogłębiała się świadomość buntu, rosła determinacja demonstrantów i nastroje ulegały radykalizacji. Do haseł o treści społecznej i ekonomicznej: „Żądamy podwyżki płac”, „Chcemy żyć jak ludzie”, „Chcemy chleba”, „Precz z normami”, „Jesteśmy głodni” dołączyły te otwarcie już antykomunistyczne i antyrządowe: „Precz z wyziskiem świata pracy”, „Precz z czerwoną burżuazją”, „My chcemy wolności”, „Precz z bolszewizmem”, „Precz z komunistami”, „Żądamy wolnych wyborów pod kontrolą ONZ”, a nawet „Niech żyje Mikołajczyk”. W końcu pojawiły się okrzyki o treści antyrosyjskiej i antyradzieckiej: „Precz z Rosjanami”, „Precz z Moskalami”, „Precz z Ruskami, żądamy prawdziwie wolnej Polski”. Jak pisał Paweł Machcewicz, „podział postulatów i haseł na ekonomiczne i polityczne ma sens przede wszystkim analityczny. W rzeczywistości bardzo często występowały obok siebie, tworząc jedną całość”.

Nie ulega wątpliwości, że w wypadku Radomia nie możemy mówić o aż tak daleko idącej polityzacji buntu, choć także tu obok haseł ekonomicznych pojawiały się postulaty społeczne, a nawet jednoznacznie polityczne. Młodzi robotnicy jeździli po mieście na wózkach akumulatorowych, z których powiewali narodowymi fla-

gami. W odróżnieniu od Poznania trudno byłoby mówić w tym przypadku o nurcie insurekcyjnym. Inne również były historyczne odniesienia uczestników obu robotniczych wystąpień.

W Czerwcu '56 nawet młodzi ludzie pamiętali wojnę i okupację. Dla nich to ona stanowiła historyczny punkt odniesienia. Nic więc dziwnego, że młode dziewczyny z biało-czerwonymi opaskami na rękawach udzielające w Poznaniu pierwszej pomocy rannym same przedstawiały się jako „powstańcza służba medyczna”. W ten sposób – świadomie lub nie – nawiązywały do tradycji i legendy powstania warszawskiego. Podobnie czynili młodzi chłopcy (właściwie jeszcze dzieci) dostarczający walczącym butelki z benzyną. Po opanowaniu przez tłum jednego z czołgów demonstranci umieścili na nim biało-czerwoną flagę i jeździli z powiewającym narodowym sztandarem po mieście. Najprawdopodobniej miało to podkreślać insurekcyjny charakter rozgrywających się wydarzeń i naturalnie w jakimś przynajmniej stopniu było „kopią” znanych zachowań powstańczych z sierpnia 1944 r.

Czy ktoś za tym stoi?

Gdy mowa o „polskich miesiącach”, dość często można spotkać się z opinią, że do wybuchów społecznych protestów dochodziło zwykle w wyniku starań jakichś tajemniczych sił, łączonych niekiedy ze służbami specjalnymi. Na XI plenum KC PZPR w 1981 r., mówiąc na temat wydarzeń w Poznaniu w czerwcu 1956 r., Jerzy Putrament stwierdził autorytatywnie, że „tam była założona mina. W naszej partii walczyły wówczas dwie potężne frakcje, jedna podłożyła tę minę drugiej: jednocześnie zarządzone podwyżkę norm, ograniczenie godzin nadliczbowych i podjęto jeszcze jakieś decyzje. W sumie doprowadziło to do wybuchu”. Podobnie na genezę Czerwca '76 patrzył Piotr Jaroszewicz, który uważał „całą sprawę” za dzieło „bezpieczeństwa” i nadzorujących je towarzyszy, dążących do podważenia jego pozycji. Zdumiewająca i wręcz obraźliwa dla zdrowego rozsądku jest ta wiara w to, że działalność jakichś mitycznych „prowokatorów i inspiratorów” byłaby w stanie wyprzewodzić na ulice polskich miast dziesiątki tysięcy osób, gdyby nie rzeczywiste polityczne, społeczne i ekonomiczne przyczyny niezadowolienia „ludzi pracy”.

Nie można jednak zupełnie odrzucać możliwości politycznej, czy może raczej policyjnej, prowokacji. Wypada się chwilę zastanowić nad tym, jaką rolę mieli do odegrania wmieszani w tłum demonstrantów liczni cywilni funkcjonariusze „aparatu bezpieczeństwa”. Czy rzeczywiście ich głównym zadaniem było fotografowanie i filmowanie dla „celów operacyjnych” osób uznanych za prowodyrów, czy też mieli inne zadania? Wiadomo, że w obu omawianych przypadkach wmieszani w tłum ubrani po cywilnemu funkcjonariusze śledzili przebieg robotniczej manifestacji i systematycznie o jej przebiegu informowali kierujące akcjami pacyfikacyjnymi lokalne sztaby.

W Poznaniu tłum stosunkowo długo zachowywał się spokojnie. Demonstranci sami pilnowali nawet, by nikt nie deptał trawników i nie prowokował wrogości

umundurowanych funkcjonariuszy MO. Podobnie było dwadzieścia lat później w Radomiu, gdzie przez kilka pierwszych godzin nie odnotowano żadnych aktów rozboju czy wandalizmu. Można zadać pytanie, jaki był rzeczywisty cel wysłania owych grup cywilnych funkcjonariuszy.

Jeśli chodzi o Radom, są dowody, że jednym z zadań „grupy rajdującej” było niszczenie mienia. Gdy manifestanci znajdowali się już w budynku KW PZPR, komendant wojewódzki MO płk Marian Mozgawa telefonicznie polecał wystać grupy funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy jako robotnicy („na rachunek” demonstrantów) mieli demolować siedzibę lokalnych władz partyjnych. W tym kontekście należałoby inaczej, niż dotychczas to czyniono, spojrzeć na incydenty, jakie miały miejsce w godzinach popołudniowych na ulicy Żeromskiego, gdzie niezidentyfikowane osoby wybijały szyby w sklepach i – co ciekawe – nic z nich nie zabierały. Krzysztof Gniadek, jeden z uczestników radomskiej rewolty, wspominał po latach: „Widziałem sam. Facet w garniturku, niebieska koszulka, buciki czarne, z dyplomatóweczką sobie szedł. Nagle hamuje. Stanął sobie, dyplomatkę położył, wyjął cegłę, rzucił w szybę, odwrócił się i w drugą stronę odszedł”. Nie musieli to być zatem demonstranci, lecz prowokatorzy pracujący „na rachunek” służb specjalnych.

Odpowiedź władzy

Zasadniczą jednak różnicą między dwoma Czerwcami był fakt użycia w Poznaniu przez „siły porządkowe” broni palnej. Pierwsze strzały padły o godzinie 10.40 z okna na drugim piętrze obleganego przez tłum gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Kochanowskiego. W ciągu następnych godzin w ręce demonstrantów wpadła broń z magazynu więziennego, ze Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Rolniczej, Akademii Medycznej i Politechniki Poznańskiej oraz z mniejszych posterunków i komisariatów MO. W promieniu kilkunastu kilometrów od Poznania grupy młodych ludzi, wyposażone w samochody ciężarowe i zdobytą wcześniej broń, rozbrajały placówki milicji, zabierając od kilku do kilkunastu sztuk broni palnej. W sumie w posiadaniu demonstrantów znalazło się co najmniej 250 sztuk broni palnej, z czego zdecydowana większość w następnych dniach została odzyskana. Dziewięćdziesięciu czterem osobom postawiono zarzut ataków z bronią w ręku.

Ileokroć w PRL dochodziło do strajków i społecznych wystąpień, władze zawsze na początku były skłonne uczestników tychże wystąpień uznawać za „chuliganów”, „bandytów”, „elementy przestępcze i kryminalne”, „wichrzycieli”, „warchotów” itd. Te niesprawiedliwe oceny były weryfikowane w niedługim czasie, jeśli w wyniku protestów dochodziło do zmiany kierownictwa partyjno-państwowego. W 1956 r. dokonało się to w niespełna cztery miesiące po robotniczym powstaniu w Poznaniu, kiedy to w wyniku przesilenia październikowego Władysław Gomułka zastąpił na fotelu I sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba. Dopiero wtedy nowy szef partii

przyznał publicznie, że winę za tragedię poznańską ponosili nie upominający się o swoje słuszne prawa robotnicy, lecz przedstawiciele władzy, którzy nie potrafili wyjść naprzeciw postulatom robotniczym.

Inaczej wyglądała sytuacja w 1976 r. Nie doszło wtedy do zmian w kierownictwie, choć premier Piotr Jaroszewicz, w odczuciu społecznym główny odpowiedzialny za niefortunną podwyżkę cen, która stała się bezpośrednią przyczyną protestów robotniczych, zgłosił Edwardowi Gierkowi swoją rezygnację. Dymisja nie została jednak przyjęta. Skoro zaś nie było „nowego kierownictwa”, nie było także weryfikacji skrajnie niesprawiedliwych ocen wystąpień robotniczych. Co więcej, w wielu miastach na wyraźne żądanie Gierka władze partyjne zorganizowały wiece poparcia dla I sekretarza i jego polityki. Jednocześnie na masówkach tych publicznie napiętnowano „warcholów” z Radomia i Ursusa. Uczestnicy protestów z Czerwca '76 mogli więc mieć jedynie satysfakcję z tego, że władze wycofały się z przygotowywanej, a *de facto* już wprowadzonej podwyżki cen.



Radom 1976 r. – protestujący na wózku akumulatorowym przed Urzędem Miejskim